

**MARIA
KUNCEWICZOWA
DWA KSIĘŻYCE**

Wstępem opatrzyła Marta Strzelecka

**MARGINESY
KLASYCZNIE**

COPYRIGHT © Muzeum Nadwiślańskie w Kazimierzu Dolnym

COPYRIGHT FOR THE PREFACE © BY Marta Strzelecka
COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025

Dwa księżyce

Upał zelżał. Słońce – bardzo czerwone – nachyliło się do rzeki, skądś z bardzo wysoka przyleciał świeży wiaterek, liście pomidorów zaczęły z wolna odzyskiwać sprężystość, ludzie przemówili donośniejszymi, czystszyymi głosami. Nadchodziła w miasteczku pora kolacji.

Kupiec żelazny Mistig stał koło swego sklepu i łapczywie spoglądał na rynek, czy w tej ostatniej minucie przed zamknięciem nie pojawi się skąd nikomu tutaj nieznany potężny klient, który na gwałt każe zapakować największe sztuki towaru i zapłaci za nie jak wariat. Nikt się nie pojawiał, więc kupiec pozwolił córce zaryglować sklep. Tragarze, ziewając, rozłazili się spod studni. Wieczorny autobus, imieniem Anioł, przyjechał i odjechał znowu do stacji, bardziej klekotliwy niż fura żelaza. Moszek Ruchlingier bojaźliwie podążał ku domowi: z daleka dolatywał wrzask Sury, bijącej niesforną Rachelę, i piski tejże Racheli. Moszek przystawał, liczył pieniądze, wzdychał... Józef teraz dopiero wracał z garbarni, choć dobrze już było po fajerancie: oczywiście pił w gospodzie Pod Dębem. Dozorca z magistracką blachą na czapce, Pytkowski, biegł szybko wąwo-

zem do swojej żony Anielci, którą tak kochał, że aż ludzi złość brała. U krawcowej, Walentyny, dziewczęta przestały terkotać maszynami, a także śpiewać *Oczy czarne*; krawcowa sama siedziała na werandzie. O chłodku jej przyjaciółka Malwina podlewała u siebie warzywa krowieńcem, na posesję Walentyny zalatywał ten odór. Majster Sowa użerał się z Wojtalikami, ile dniówek robili przy szabrowaniu, a ile przy koriolicie na dachu, bo za szabrowanie dawał mniej.

Dzieciaki, ochłoniwszy z gorąca, biegały jak oszalałe z chlebem w ręku i z twarzami umaczanymi w śmiętanie. Gdzieniedzie pospuszczano psy: goniły – skowycząc – swoich małych państwa. I tylko te właśnie stworzenia – dzieci i psy – zdawały się święcić wieczór, bez trwogi witać niedaleką noc.

Niebawem od wschodniej strony pokazał się księżyc. Prawie taki sam czerwony i taki wielki, jak dopiero co utopione słońce. Wtedy ślepy Michał, którego ojciec miał za klasztorem osiem morgów gruntu i który strasznie nienawidził nocy, odkąd go dziewczuchy obśmiały, że bał się nastąpić na ogon komecie – stanął przy drodze do swojego obejsia i zaczął zaganiać ludzi: „A spać, a spać! Czegóż jeszcze mitrężyć?”.

Nie tak zaraz go usłuchano. Dzień letni, zanim uładził się na sen, musiał dobrze przestygnąć z potu, z harówek, z pośpiechów. Kobiety musiały poprać szmaty, pomyć naczynia, których zaniedbały dla pracy w polu albo dla jakich innych pilnych posług; mężczyźni musieli najeść się, nastękać, nakurzyć papierosów, naurągać wszystkiemu. Dzieciaki chciały podokazywać w ciemności.

Powoli jednak ucichły szurania garami i męskie wyzwiska, zapach gotowanych kartofli wsiąkł w gorzką, chłodną woń naci, matki zagoniły malców do łóżka, psy – na przednocną latankę – popędziły do wiosek.

Ciągle czerwony księżyc trochę zmalał i odbił się od ziemi. Ludzie zerkali nań niechętnie: nigdy nie wiadomo, co wróży księżyc, kiedy tak wisi nad światem.

Wchodzili do mieszkań, mościli posłania, wzdychali ku Bogu albo ku minionemu szczęściu, kto ją miał – zaciągał frankę. Kładli się. Miło jest dać folgę utrudzonym miłośnikom, miło o niczym nie wiedzieć.

Tylko jeszcze Agata żebraczka, której los poskąpił własnego domu, wlekła się drogą do niepewnych noclegów.

Wreszcie każdy stateczny człowiek odnalazł swoje miejsce – i spał.

Księżyc pobladł. Był już teraz mały i bardzo wysoki. Płynęło z niego szklane światło.

Na górze za wąwozem skrzypnęła furtka od ogrodu. Zaszeleściły suknie. Ktoś zaśmiał się, ktoś zaśpiewał. Zastupotały na stoku obcasy.

Franciszkowa, którą pod sercem bardzo uwierało dziecko i dlatego sen miała lekki – spłoszyła się; szturchnęła męża:

– Co to? Kto tam tak lata po dworzu?

Uniósł głowę z kraciastej poduszki, posłuchał chwilę, wreszcie mruknął:

– A to... te tam... nocne marki.

Westchnęła:

– Ach, oni... A gdzie Janek?

Po czym spali dalej.

O n i tymczasem zbiegli w wąwóz, rozwłócząc za sobą perfumy. Sylwia z Jeremim szli pod rękę, Flora błyszczała, oblana jedwabnym szalem jak wodą, nad Meną lśniły włosy. Gadali głośno, gonili się. Paweł ciągnął Izę za wstążkę, którą była opasana. Madzia błędziła między drzewami, szukając robaków świętojańskich, Szymon je – z wielkiej usłużności – przydeptywał, mecenas – w lansadach – ratował.

Wąwóz z obu stron zarośnięty buczyną wyglądał jak dekoracja z Wagnerowskiej opery. O n i patrzyli co chwila na gwiazdy ustrojone w liście, na wysrebrzone gałęzie i mówili: „Jak pięknie!”. Klara podniosła dłoń do góry:

– Stójcie! Ten zapach... Czujecie?

Wdychali zapach siana, przymykając oczy.

Zeszedłszy w ulicę, przyspieszyli kroku. Miasteczko zdawało się martwe. Na rynku płonęły w pustce dwie wysokie latarnie. Kot hycnął zza rogu, w dali bez przekonania ujadły psy.

O n i wybiegli na środek placu. Obnażone deski straganów lśniły, płachty służące w dzień do osłony towaru zwisały po boku. Paweł chwycił Florę w objęcia, postawił ją na straganie – piękną w czarnych lokach i w blasku księżyca... Zawołał:

– A szajne lialka! Do lialki, do lialki, panowie!

Roześmieli się, zaczęli klaskać, Flora zaś ślicznie powiewała szalem.

Potem minęli farę i podążyli w górę do baszty, do ruin zamczyska. Berberysy chwyciły za suknie, pachniało teraz macierzanką. Im wyżej wchodzili, tym rzeka odsłaniała się

dalej. Niebawem mogli już ją widzieć aż po trzeci, szeroki, srebrny zakręt. Stanęli na szczycie wzgórza. Szczerbaty zamek jaśniał opodal, jakby cały był z próchna. W dole czerniało miasteczko.

O n i usiedli pod jednym z trzech ogromnych krzyży. Mena oparła rudowłosą głowę o drewno, niczym Magdalena. Z ruin wyszedł ktoś, dwoje ludzi zbliżało się do n i c h. Jeremi ruszył naprzeciw, po chwili wykrzyknął:

– To nasi! Halo! Chodźcie! Czekamy na was tutaj.

Krystyna przywitała się, Jerzy powiedział:

– Już od dwóch godzin patrzymy na to wszystko.

Krąg się powiększył. Milczano. Po rzece chodził srebrny dreszcz, po niebie – obłoki. Każda rzecz odmieniała się ciągle. Dach fary raz wyglądał jak ze szkła, raz jak z aksamitu. Miasteczko drzemało wśród swojej zacisznej kotliny, to znów szczyty renesansowe attyki w przytomnym i nieprzyjaznym uśmiechu.

Mena odezwała się:

– Książec był czerwony, kiedy t a m c i ludzie szli spać... Teraz jest biały. Zupełnie inny. Czy też t a m c i ludzie wiedzą, jak wygląda biały książec?

Jeremi odpowiedział:

– Może w ogóle są dwa książce... Jeden dla t a m t y c h ludzi, drugi – tylko dla nas.